

# Marek Sołtysik

---

## Aura wokół Reymonta

---

Palestra 50/11-12(575-576), 117-124

---

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

## AURA WOKÓŁ REYMONTA

**80 lat temu, w styczniu 1925 r., w roku swej śmierci, ciężko chory Władysław St. Reymont odebrał w Nicei przyznaną mu dwa miesiące wcześniej literacką nagrodę Nobla.**

Badacze życia i twórczości Władysława Stanisława Reymonta pozostają bezradni wobec nienasyconej żądzy kreacji, jaką przejawiał autor „Ziemi obiecanej”. W rozmowach przedstawiał rozbieżne wersje zdarzeń z młodości. Do dziś nie ma zgody, czy nauczyciel gimnazjum w Częstochowie, bez którego trudno sobie wyobrazić narodziny Reymonta-pisarza, nazywał się Pusch. Bo może Puszw. A gdyby tak jeszcze teraz zrobić porządną kwerendę...?

Z początkiem roku 1890 dwudziestotrzyletni Reymont, który żył burzliwie a biednie i nie bardzo wiedział, co dalej, będąc przejazdem w Częstochowie, odwiedził znajomego nauczyciela – nazwijmy go panem P. Pisał nazajutrz do brata: „nie zastałem go w domu, lecz natychmiast zaprowadzono mnie tam, gdzie był: u niejakich Rosickich. Wchodzę – salon obszerny, osób ze trzydzieści kilka, wszyscy z jakimiś dziwnie nastrojonymi twarzami mnie przyjmują, powstając z miejsc. Pan P. zbliża się do mnie i, schylając głowę, szepcze «Bądź pozdrowiony». Jestem zdumiony i mówię kilka słów usprawiedliwienia do pana P, ten usuwa się w głąb salonu i całe zgromadzone towarzystwo przechodzi przede mną, chyląc głowy i szepcząc: «Bądź pozdrowiony». Wyobraź sobie moje zdziwienie. Dopiero po jakimś czasie dowiaduję się, że znalazłem się w kółku tak zwanych spirytualistów i widzę przed sobą najwybitniejszych przedstawicieli tej mrzonki czy nauki w Europie. Z najznakomitszych: dr Lombroso z Bolonii... Wszyscy otaczają mnie w milczeniu. Pan P. zaczyna mi rozjaśniać, że wszyscy, których widzę, zgromadzili się umyślnie, aby mnie poznać; na takie *dictum* zrozumiesz, że musiałem zgłupieć do reszty. Jak to? Mnie? mnie? (...) Wytłumaczono mi, że mieli powiedziane w swoich seansach spirytualistycznych, że aby na dzień 10 II 90 na godzinę siódmą po południu zebrali

się w Częstochowie tu a tu i oczekiwali przyjscia. Tu pokazali mi opis mojej osoby w najdrobniejszych szczegółach”.

Powiedzieli mu, że został „wybrany do głoszenia i zwyciężenia głosem materii”. On na to – że jest dekadentem i nie ma środków do spełniania duchowej misji. Obecni, „porozumiawszy się ze sobą, zapewnili całodzienne utrzymanie, pomoc naukową itd. Franku – kończył list do brata – nie jestem pod wpływem halucynacji (...), gdy sobie pomyślę o tym, co mnie spotkało, o kierunku, w jakim życie moje popłynie, boję się o siebie, boję się wprost zwariować”.

Odtąd, już jako członek Warszawskiego Towarzystwa Psychologicznego, do którego celów należało „przeciwdziałanie kierunkowi materialistycznemu za pomocą rozkrzewiania idei spirytystycznych”, Reymont wybrał się – jako medium – do Wrocławia, Berlina i do Wiednia. W grupie ezoteryków znalazł się wybitny krytyk, redaktor „Tygodnika Ilustrowanego”, Ignacy Matuszewski.

Reymont został wybrany. Od tej pory wszystko potoczyło się szybko – pracowitość utalentowanego pisarza przekonała szlachetnych, że właściwemu człowiekowi wytyczają drogę kariery. Jego przyszłość rysowała się świetnie: entuzjastyczne głosy krytyki i czytelników po ukazaniu się niezwyklej „Pielgrzymki do Jasnej Góry”, nad wyraz osobistego reportażu z pielgrzymki w roku 1894, w setną rocznicę Insurekcji Kościuszkowskiej: tego jeszcze nie było: ostrość obserwacji i jakież sugestywny koloryt opisów! Niebawem kolejny sukces: przejmująca powieść z życia aktorów „Komediantka” (realia z autopsji: autor za młodu uciekał z domu, jako aktor pędził żywot w trupach wędrujących po kraju). I w niej, i w następnej powieści „Fermenty” pokazał, że ludzie sztuki w grupie niewiele się różnią od zwykłych śmiertelników: tak samo są tam wykorzystywani – i wyzyskiwacze.

Książki Reymonta stawiano w rzędzie tuzów: Orzeszkowej, Zapolskiej, Karola Huberta Rostworowskiego. Rozpoczęła się rywalizacja między nim a młodszym odeń o rok Żeromskim.

Do pozazdroszczenia: przebierał w ofertach wydawców. Imponujące zaliczki; nic, tylko siadać i pisać. Tak, ale te wyjazdy: zapoczątkowane w 1894 r. podróżą do Londynu na zjazd The Theosophical Society. On, z przeraźliwymi lukami w wykształceniu, przez przypadek czeladnik krawiecki, niedoszły organista etc, etc... I taki świat! W rodzinnej Wolbórcy, w Warszawie, w Łodzi, ale głównie w Paryżu i Londynie kończył zamówioną przez Gebethnera i Wolfa „Ziemie obiecane” – studium drapieżnego kapitalizmu. Krytyka porównywała autora do Zoli, pisano nawet, że Reymont poszedł dalej. Jego życie osobiste... cóż, niby miało się właśnie ułożyć, rosły szanse na ślub z Aurelią Szabłowską z Szacznajdrów, pozostającą w separacji z mężem – a tymczasem nabrało niespodziewanej bujności. Oto z początkiem kwietnia 1900 r. wspaniała niespodzianka dla pisarza wyczerpanego wzbierającą namiętnością do pięknej Wandy Szczukowej, kobiety czterdziestoletniej, wprawdzie wolnej, bo rozwiedzionej, ale przecież przykładowej matki czworga dzieci. W zacisznym pensjonacie w Krakowie, dokąd Szczukowa i Reymont zjechali z Zakopanego osobno, przeżyli – jak to określił Tomasz Jodełka-Burzecki –

„dwa dni triumfującej miłości”. Tenże krytyk (w opracowaniu: W. St. Reymont, *„Miłość i katastrofa”*. *Listy do Wandy Szczukowej*, Warszawa 1978) rozwiewa czytelniczą radość z cudzego szczęścia, dodając: „Jednakże po tych dniach Szczukowa powróciła do Zakopanego i chociaż obiecała Reymontowi rychły przyjazd, zawiadomiła go telegramem, że nie przyjedzie”.

Zanim uwieczni ją jako demoniczną Daisy w powieści „Wampir”, Reymont będzie stał do niej listy, wspominając epizod rozkoszy. Przestało go interesować wszystko, co nie miało związku z kochanką, która nadal bawiła w Zakopanem. I oto wreszcie! Z Wolbórki – gdzie w domu ojca pisał „Chłopów” – do Warszawy pognąła go wieść o otrzymaniu paszportu oraz o honorarium do podjęcia w kasie wydawcy. Kiedy już z pełnym trzosem, po wizycie u narzeczonej i nadaniu listu do kochanki, zapowiadającego przyjazd („Jak ja czekam tego, jak czekam!”), wsiadał do pociągu, nie dbał o to, że w kalendarzu stoi jak byk: trzynastego i piątek. Bo 13 lipca 1900 r. składał się w coś feralnego!

Wszystko więc być może biegłoby bez przeszkód, gdyby pisarz mniej ufał swojej szczęśliwej gwieździe. Wtedy nie lekceważyłby znaczenia magii liczb. Trzydziesto-trzyletni sławny autor, uczestnik seansów spirytystycznych, zapomniał, że fatum, ucieleśnione w widmowych barwach pełgającej świecy, wcale nie musi znikać w świetle letniego dnia. Trzynastego i w piątek rozpoczął podróż.

Lokomotywa gwizdnęła, pociąg ruszył; kłęby dymu z parowozu szły w górę omijając wagon. Przez okno wpadały zapachy lata. Łącząc się w przedziale z dyskretną nutą dobrych perfum i tytoniu *virginia*, współtworzyły aurę cywilizowanego wojażu. Było czysto, miło, elegancko i jasno.

Nagle Reymont, który podróżował wygodnie, mając za współpasażerów Jana Gadomskiego, znajomego redaktora „Gazety Polskiej” i jego siostrę Teofilę, poczuł wstrząs, potem przykry skurcz. Długotrwały, głuchy huk. Ogarnęły go ciemności; czuł tylko jedno: mocny, niedobry ucisk.

Rozterkotały się telegrafy.

„Godzina 11 rano... poważna katastrofa na linii Warszawsko-Wiedeńskiej... dźwięczały na stacji dzwonki alarmowe, zagwizdały przeraźliwie wszystkie lokomotywy, zatrafiły trąbki”.

„Czas” relacjonował w nr 178, że katastrofa wydarzyła się na piątej wiorście kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, w pobliżu przystanku Włochy, na ostatniej zwrotnicy stacji towarowej. Pociąg osobowy z Warszawy, składający się z 14 wagonów, wyruszył z Warszawy o godz. 10.40. Około godz. 10.50 zbliżył się do „budki nr 7”, do której dochodził inny pociąg osobowy, jadący od stacji Granica (dziś Maczki), mający o godz. 11.00 dotrzeć do stacji docelowej w Warszawie. „Maszyniści spostrzegli się i przyjętym zwyczajem «dali świstki». Kiedy zwrotnicę minął pociąg nr 17 (z Warszawy), pociąg nr 74 (do Warszawy) nagle skręcił ze swego toru i wpadł w środek pociągu nr 17.”

Źle ustawiono zwrotnicę. „Pociągi nie wstrzymane halt sygnałem wpadły na siebie. Uderzenie było straszne. W wagonie I klasy odpadły koła i osie, pudło całe

osiadło na plancie (plant – nasyp pod kolej żelazną). Na wierzchu stosu siedzenia i półki wagonów, z wystającymi okrwawionymi szczątkami. Zupełnemu zgruchotaniu uległ wagon klasy II. Następny, też klasy II, rozbity na drzazgi, które zawisły w powietrzu, pogięte żelastwo, wszystko to zasypało plant”. Dalej – z rozbitym spodem, na wół leżący, za nim wagon „przewrócony na bok, zdruzgotany wewnątrz i oparty na belce kozła zamykającego ślepą linię. Po tej belce był jeszcze ciągniony przez całą swą długość”.

Zginęły dwie osoby; „widok przerażający, potęgowany jękiem i krzykami rannych”. Mężczyźni – w tym kontuzjowany doktor Jóźwicki – rzucili się na pomoc. W 25 minut po wypadku przyjechało pogotowie ratunkowe: dziesięciu lekarzy i sanitariusze. Karetki nie mogły dojechać od razu – od miejscowości Czyste dwie wiorsty bez bodaj ścieżki – więc wraz z personelem zostały załadowane do pociągu i tak przetransportowane na miejsce wypadku.

„Jan Gadomski, cały czarny z powodu pożaru, jaki wybuchł w wagonie od zbiornika gazowego, krzyczał: – Ratujcie siostrę!”

Nadbiegł ocalały pasażer Ignacy Matuszewski, kolega po piórze. Pomagał, zwołał ludzi.

„Wydobyto tylko trupa.

Po chwili spod wiórów i odłamków dźwignął się z trudem silnie potłuczony na całym ciele, z okrwawioną głową, powieściopisarz Władysław Reymont”.

Pięćdziesięciu rannych ułożono w rowie przy nasypie. Lekarze w pół godziny zdołali opatrzyć, obandażować i przy pomocy sanitariuszy przenieść ich do trzech wagonów umyślnego pociągu. Noszy nie starczyło, zastąpiono je aksamitnymi poduszkami z klas I.

Na miejsce przyjechała natychmiast powołana komisja.

Ciało Teofili Gadomskiej wysłano specjalnym pociągiem na dworzec wiedeński w Warszawie. W tym samym składzie jechała większość rannych. Zwłoki inżyniera Karola Vorbrodta, urzędnika kolei Warszawsko-Wiedeńskiej musiały pozostać w polu. Od jego bowiem czarnej, bo całej w „strasznej sinicy” twarzy nie można było oderwać zamarłej w rozpaczy córki, z którą wracał z letniska do domu.

Reymont dzieli się wrażeniami („Czas” z 15 lipca): „Panna Gadomska siedziała na ławce przy oknie i czytała list, który jej podał brat. Ja i pan Gadomski siedzieliśmy naprzeciw, a ponieważ promienie słoneczne zaczęły świecić nam w oczy, usunęliśmy się na środek ławki. Tak siedząc i gawędząc, nagle uczuliśmy jakieś silne wstrząśnienie. (...) W miejscu, w którym siedziała, ściany wagonu zeszyły się i panna Gadomska otrzymawszy potężny cios w piersi, zabita została na miejscu. Gdybyśmy pozostali na pierwszym miejscu przy oknie, spotkałby nas ten sam los”.

Wiadomość z „Czasu”, z 16 lipca: pogorszył się stan zdrowia Reymonta. Lekarze do dziennikarzy: „Twarz posiniała, podniecony – tych z nas, którzy znali go wcześniej, przeraził jego widok”. Rana głowy, złamane żebra, stłuczony kręgosłup. Żurnalista pyta, czy może się to odbić na jego systemie nerwowym. Odpowiedź medyka: – Oczywiście. – Jak?

„– Jedni wariują, innym pozostaje rozstrój, a trzeba pamiętać o tym, że tu chodzi o nerwy i umysł artysty-pisarza, którego twórczości wypadek taki może wiele zaszkodzić”.

17 lipca. „Reymont czuje się jeszcze gorzej – za «Kurierem Warszawskim» donosi prasa w Galicji. – Pisarz stracił słuch w jednym uchu, lekarze stwierdzili, że nie może stać ani chodzić. Dzieje się to na tle nerwowym”.

Dalsze newsy: niejaki Grigoriew, pomocnik zawiadowcy, został zawieszony w służbie. Akcje kolei Warszawsko-Wiedeńskiej spadły na giełdzie berlińskiej o 5% w następstwie katastrofy.

Katastrofa zmieniła tor życia Reymonta. Mówił wprawdzie o cudzie ocalenia, ale... jechał do swojej wielkiej miłości... i nigdy już tam nie dojechał. Unieruchomiony w Szpitalu Praskim, nazajutrz był świadkiem kolejnej śmierci: Mayer Wolanowski, przemysłowiec, przywieziony z tej katastrofy z pogruchotaną golenią, ale przytomny, nim skonał wskutek obrażeń wewnętrznych, zdołał podyktować ostatnią wolę, w której mieściła się m.in. potężna suma 50 000 rubli na cele dobroczynne.

W głowie stały szum, przed oczami przewijająca się makabra. Katastrofa rozbiła to, co sobie Reymont budował, mając serdecznie dość przewlekłego narzeczeństwa z Szabłowską. Tylko po uzyskaniu przez nią rozvodu kościelnego (sprawa już ruszona w konsystorzu, lecz koszty!) mogliby się połączyć, a tymczasem trzeba było przed ludźmi kryć ten szczególnie związek. W obliczu jednak nowej miłości wiedział, że tylko u boku Wandy Szczukowej pragnie spędzić resztę życia.

Lecz teraz cóż... przedmiot jego „błyskawicowej miłości”, pani Szczukowa, utraciwszy dostęp do Reymonta (dowiedziała się o narzeczeństwie), posławszy kwiaty rannemu, wraz z dziećmi opuściła kraj. „W Nicei – pisze Jodełka-Burzecki – nabyła piękną willę, która wcześniej należała do królowej angielskiej Wiktorii, i założyła w niej pensjonat o wymownej nazwie «Polonia»”.

Adwokat Napoleon Hirszbard – syn Hermana Hirszbanda, urzędnika bankowego – był pełnomocnikiem prawnym Reymonta w procesie o odszkodowanie, który powieściopisarz wytoczył zarządowi kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. (Prywatnie Hirszbard był kolegą Reymonta i publikował pod pseudonimem Cezary Jellenta.) Tymczasem sam poszkodowany – na koszt kolei i pod przyjacielską opieką literata Antoniego Langego – udał się na kurację do Wenecji. Poruszał się z trudem, ponieważ „pokazało się, że w stawach kolan porobiły się jakieś wysiękowe historie”. Lekarze skierowali go do kliniki Richarda Krafft-Ebinga w Wiedniu. Stamtąd już blisko do Krakowa: oto jak w kawiarni Schmidta znalazł Reymonta, pacjenta kliniki dr. Gwiazdomorskiego, młody Alfred Wysocki („Sprzed pół wieku”, Kraków 1958): „pewnego poobiedzia zjawił się tam, prowadzony przez pielęgniarkę pod rękę, jakiś młody, bladawy lecz dobrze ubrany pan. Z miną lorda zamówił kawę mrożoną uchodzącą w naszych oczach za szczyt rozrzutności i pudełko «egipskich»”.

Młodzi z kręgu Przybyszewskiego dowiedzieli się, że to Reymont i że się leczy w oczekiwaniu na konsultację w Berlinie. W ich imieniu relacjonuje Wysocki: „więc gdy przybył znów nazajutrz, powitaliśmy go hałaśliwie i serdecznie. (...) Reymont

na razie leczył się zapamiętałe – na koszt dyrekcji kolei – w sanatorium nie pił i nie palił, za to u Schmidta stawiał sobie i nam gęste kolejki i opowiadał o swym życiu”.

Cały Reymont: pół żartem, pół serio. Rzeczywistość jednak ma swoje granice: wyrokiem sądu w lutym 1901 r. (a więc tempo błyskawiczne, *chapeau bas* dla mecenasa Hirszbanda!) pisarz z żądanej kwoty 50 tysięcy rubli srebrem otrzymał na rękę tytułem odszkodowania 38 500 r.sr. Po uregulowaniu zobowiązań i zaspokojeniu wierzycieli sporą część pozostałej kwoty złożył na procent od hipoteki, dzięki czemu będzie osiągać 1 800 r.sr. rocznie. Znany do niedawna z „hec z kobietami”, musiał się ustatkować, schorowany i wciąż się kurujący, w rozdrażnieniu wypatrywał wieści z Rzymu od księdza Jaworskiego, który załatwiał rozwód narzeczonej; na spółkę z przyszłym szwagrem pisarz wyłożył na ten cel 10 tysięcy rubli. Stało się, 7 lipca papież Leon XIII udzielił dyspensy i małżeństwo Aurelii zostało unieważnione. Ślub natychmiast; lecz żeby nie zapeszyć (niedziela wypadła 13 VII, w rocznicę katastrofy), odbył się on w Krakowie 15 lipca, w dzień powszedni. Nowożeńcy wychodzili z kościoła prosto na ucztę w Hotelu Saskim, z udziałem m.in. Wyspiańskiego, Rydla, Włodzimierza Tetmajera i Wilhelma Feldmana. Nie musieli zachować *incognito*: nikt nie zwracał uwagi na skromny orszak, Kraków żył bowiem hucznymi obchodami rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem.

Wszystko, co miał zrobić, zrobił lub rozpoczął przed katastrofą. Potem cóż, pisał, niedostępny dla gości do pierwszej po południu. Na stałe mieszkał w Paryżu; twierdził, że tam, inaczej niż w kraju, twórca w jednym nie różni się od rzemieślnika: godziny pracy są święte i nie jest w zwyczaju wpadać bez zapowiedzi, żeby koledze czczą gadaniną zmarnować dzień. Wieczorem, po obiedzie i obowiązkowej drzemce, szedł z żoną z mieszkania przy bulwarze Montparnasse do pobliskiej kawiarni „Rotonde”, gdzie przesiadywał jeszcze grubo po północy. „Chłopi” – dzieło jego życia, ukończone w osiem lat po wypadku (ale tuż przed oddaniem wydawcy spalone przez autora i prawie w całości napisane od nowa!), procentowało licznymi tłumaczeniami. W 1919 r. Polska Akademia Umiejętności w Krakowie wysunęła Reymonta do Literackiej Nagrody Nobla.

Polska odzyskała niepodległość i Reymontowie wrócili do kraju. Nabyli pałac w Kołaczku, w Poznańskim, z 500 hektarami pięknej ziemi. Reymont zajął się specjalnie ogrodem, sprowadzał jabłonie najlepszego gatunku. Rządca doglądał dworu i budynków gospodarczych. Póki były resztki zdrowia, pisarz jakoś przebolewał słony podatek, który przyszło mu płacić w następstwie reformy Grabskiego. Liczył na Nagrodę Nobla. W 1924 r. był blisko; okazało się, że wysunięta w dwa lata później kandydatura Żeromskiego odpadła: autor „Wiatru od morza” postrzegany był jako antyniemiecki. [„Kandytaura ta (...) miała jednak w Akademii Szwedzkiej bardzo niewielu zwolenników. Żeromski, jako wybitnie nacjonalistyczny pisarz (*sic!*), nie wydawał się być odpowiednim kandydatem do Nagrody Nobla (...) Reymont natomiast był od razu przez naszego eksperta języków słowiańskich polecony” – pisał po latach do Alfreda Wysockiego Sekretarz Generalny Akademii Szwedzkiej, prezydent Komisji Nobla i w 1924 r. wnioskodawca kandydatury Reymonta, prof.

Andrers Österling]. Z Reymontem szukało kontaktu coraz więcej wpływowych osób z zagranicy. Pisarz zapraszał ich do romantycznego Kołaczkowa, choć małżonka miała obawy, że Europejczyków zrazi brak wygód. Wyjeżdżali urzeczeni. Także swadą i dowcipem Reymonta, przez całe życia zamiłowanego aktora. A potem... potem pisarz zmywał, by tak rzec, mastyks, ścierał szminkę, wracał do Warszawy, do nowiutkiego mieszkania przy Górnośląskiej 16, i tam był prawdziwy.

Gościł tam Józefa Rączkowskiego, który w swej książce „Wśród polityków i artystów” (Warszawa 1969) wspomina, jak to „Reymont ciężko chory na serce, po obiedzie, prosił mnie, żebym mu pomógł zdjęć kamizelkę, położył się w gabinecie na sofce”. Pisarz czuł, że to kres; przed laty, w rozrzuconych w czasie listach do brata i do przyjaciela, dwukrotnie mimochodem nadmienił, że przeżyje 58 lat. Leżąc mówił o Kołaczkowie:

„– Ile razy przechodzę koło tych drzewek, coraz ładniej rosnących, przed oczami rysuje mi się widok tego sadu za lat dziesięć czy dwadzieścia. Mnie już wtedy na świecie nie będzie, ale będą tam ludzie, którzy zrywając z tych drzew owoce, będą mnie wspominać serdecznie. Umyśliłem sobie, że dwór w Kołaczkowie stanie się ośrodkiem, w którym pisarze polscy, gdy dojdą do starości i już pisać nie będą mogli, znajdą mieszkanie i całe utrzymanie, i pewne dochody na własne potrzeby. Bo z tymi starszymi pisarzami to u nas jest źle. Wypisze się jeden i drugi, i na stare lata cierpi nieraz nędzę. Już sobie wyobrażam, jak tam kiedyś osiądą Nowaczyński, Makuszyński i inni, jak sobie tam będą żyli wygodnie, bez trosk o jutro, jak sobie będą chodzić po ogrodzie, jak będą zaglądać do piwniczki, którą im także powoli zaopatruję w dobre wino, i jak mnie wtedy będą błogosławić.

– Chce pan z Kołaczkowa zrobić fundację? – spytałem.

– Kołaczkowo zapiszę testamentem na schronisko czy coś w tym rodzaju dla starszych pisarzy, nie mogących już pracować”.

Rączkowski nie od rzeczy napomknął o fundacji. A Reymont cóż, sądził widać, że ustne rozporządzenie wystarczy.

Dwa ostatnie lata pisarza były dogorywaniem. Nie był w stanie przybyć do Sztokholmu. Nagroda Nobla z dyplomem i medalem ze szczerego złota doszły doń z dwumiesięcznym poślizgiem. Jako poseł RP w Szwecji ten sam Alfred Wysocki musiał poruszyć niebo i ziemię przez konsulat polski w Nicei, żeby nie dopuścić do sytuacji gorszej. Oto bowiem gdy w styczniu 1925 r. do laureata na adres pensjonatu w Nicei dotarł czek na 116 718 koron (ówczesna wartość prawie 257 000 zł), nicejski urząd celny zażądał opłaty tysiąca franków od tej przesyłki!

W Nicei zobaczył się po raz ostatni z Wandą Szczukową. Już w glorii, ale – jak mówił: „Jakże chory jestem, bez sił, cóż mi po sławie i pieniądzach. Los zadrwił sobie ze mnie”.

Wrócił do Polski. Zgasał 5 grudnia 1925 r., w dwa tygodnie po śmierci Żeromskiego. Pogrzeb z pompą, zabalsamowane zwłoki do grobu z ziemią, jak sobie życzył, bo ziemia ogarnia ciepłem. Po chłopsku. Grób Reymonta dał początek Alei Zasłużonych na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Rączkowski zanotował:



„W jakiś czas po jego śmierci wdowa po nim wyszła ponownie za mąż, a następnie sprzedała Kołaczkowo drowi (Antoniemu) Juraszowi, profesorowi uniwersytetu w Poznaniu, na niesłychanie korzystnych dla niego warunkach. Zapłacił on za ten majątek dwa i pół tysiąca w gotówce, a zobowiązał się, że spłaci 17 i pół tysiąca dolarów w przeciągu 20 lat. Było to więc kupno po prostu za bezcen”.

Marzenie pisarza mogło się być spełnić – gdyby, wyrażone w formie pisemnej, czekało w kancelarii prawnika. Napoleon Hirszbard już jednak nie czekał. Nie wznowił bowiem praktyki adwokackiej po roku 1906, kiedy zamknął swą kancelarię, wskutek sympatii lewicowych zmuszony opuścić Warszawę. Odtąd już, wyłącznie jako Cezary Jellenta, zajął się wszechstronną twórczością literacką, a z czasem, jako ruchliwy publicysta, krytyk literacki i artystyczny, stał się kimś, kogo dziś twórcom w Polsce brakuje: autorytetem moralnym.